Wersja 1

Bóg przybity do krzyża. To szokujący, ale i wspaniały znak Jego miłości do nas. Bóg dał się przybić do naszego życia. Tak, żeby nie dało się Go oderwać. Sam mówił: Ja jestem z wami przez wszystkie dni aż do skończenia świata. Kiedy tylko budzi się dzień, we wszystkich kościołach kapłani wznoszą nad głowami wiernych Biały Chleb i przypominają, że to jest Ciało za nas wydane. Każdego dnia Chrystus czeka, by rozgrzeszać swoje poranione dzieci w kościołach Paulinów, Jezuitów, Kapucynów, Dominikanów, Franciszkanów, Bonifratrów, Redemptorystów. Cały dzień Chrystus jest wyniesiony w monstrancji w Sanktuarium Matki Bożej na Jasnej Górze. Od setek lat przypomina o swojej miłości w znaku krzyża.

Od wieków Bóg, jakby przybity do tego miasta, dzieli losy z mieszkańcami Częstochowy. Bóg przybity do Polski, do całego świata. Wbity jak hak w tatrzańskiej skale, ratujący tych, którzy odpadają od życia i lecą w przepaść.

Niekiedy ktoś może prosić: Jezu, przytul mnie, obejmij mnie. Ale to dla Niego zbyt mało. On się miłością przybija do naszego życia. Na dobre i na złe. Na nasze zbawienie wieczne.

Wersja 2

Charakterystycznym momentem pokonania granicy samego siebie jest swoista bezbronność. Bo granica kontroli, panowania nad sytuacją została przekroczona. Na tym etapie z człowiekiem coś się dzieje, a on może się temu jedynie przyglądać. Zero poczucia bezpieczeństwa i niesamowite nowe horyzonty. Świadectwo Oskara: Lubię mieć kontrolę nad sytuacją. Nad tym, co się dzieje wokół mnie. Ograniczyć ryzyko i być gotowym na różne reakcje w zależności od potrzeby. Asekuracja. Asekuracja pozwala wygrywać wiele dużych wyzwań. Ale do wygrania tych największych trzeba iść na całość. Bez asekuracji. Czy Jezus przekroczył granicę bezpieczeństwa, czy też inni ją naruszyli, przybijając Go do krzyża? Przypomnijmy kluczowe słowa: (…) Bo ja życie moje oddaję (…). Nikt Mi go nie zabiera, lecz ja od siebie je oddaję (J 10, 17-18). Jezus przekroczył jedną z najbardziej niebezpiecznych granic: oddał się w ręce ludzi. Teraz oni mogli sterować Jego życiem. Choć nie do końca. Bo mogli Mu zrobić krzywdę. Ale on wciąż miał władzę na tym, kim był. Na krzyżu modlił się do Boga; budował więzy rodzinne; przebaczał łotrowi. Był w ich rękach, ale wciąż był sobą. Można powiedzieć: sprawdził się. Bo miarą wielkości człowieka jest największe wyzwanie, którego się podjął i wygrał. Jezus był gotowy. I wygrał. To jest w sposób oczywisty, najwyższy format człowieka. Najwyższy, to nie znaczy, niedostępny dla nas. Co stoi na przeszkodzie, byśmy też byli gotowi na konfrontację z ludźmi, na bezbronność w stosunku do złoczyńców? Czego nam brakuje? Może wyzwań…

*Módlmy się: Jezu, spraw, aby poczucie bezpieczeństwa nie było najważniejsze w moich wyzwaniach. Abym umiał sięgać po te największe - bez asekuracji.*

Wersja 3

Tę stację często mam przed oczyma. Ręce i nogi masz przybite do krzyża. Boli Cię również głowa. Nie za bardzo możesz zejść z krzyża, nie możesz już wybrać żadnej łatwiejszej drogi. Ponieważ cierpisz, ból sprawia, że wiesz, że to jesteś Ty. To moment, kiedy zastanawiasz się: czy coś mi jeszcze zostało? To jest niesamowita rola cierpienia, również na tej drodze krzyżowej. Powinno boleć, bo tylko wtedy wiesz, że to dotyczy Ciebie. Cierpienie wyzwala ze złudzeń i wszystko przewartościowuje. Więc już wiesz, że chodzi o Ciebie. Wtedy pojawia się silne zapotrzebowanie na reakcję: co zrobić, żeby nie cierpieć. Pojawia się bardzo silna potrzeba podjęcia decyzji i działania. Ale na to nie ma żadnych szans. Krzyż unieruchomił już ręce i nogi. Co pozostaje? Myślenie, medytacja, mimo obolałej głowy. I pytania: o co w tym wszystkim chodzi, jak to się układa w całość, do czego to wszystko zmierza. Takie myślenie ma ogromny sens. Jest potrzebne, aby żyć i to żyć prawdziwie. Jest potrzebne, by sensownie umrzeć. Pofilozofujmy, medytując jedenastą stację.

*Módlmy się: Jezu, potrzebuję więcej myślenia i filozofowania.*

Wersja 4

Mężczyzna potrzebuje czuć się wolnym. Tak gra wielu mężczyzn. Tłumaczą się, że nie mogą podjąć żadnej odpowiedzialności, bo to ogranicza ich wolność. Lecz kiedy są wolnymi ludźmi, nie wiedzą, dokąd iść. Jakimś dziwnym trafem, chodzą wciąż w te same miejsca. Na piwo, z kolegami, czy do komputera. Czują się wolni, a zachowują się, jakby byli zniewoleni. Nie robią nic takiego specjalnego. Nawet jeśli zmieniają miejsca, chodzi im wciąż o to samo. Inni znowu nieustannie tłumaczą się, że nie mogą. Że taki szef, taka praca, taka rodzina. No, nie da się. Nic się nie da. Wolność nie ta i zniewolenie nie takie. W tym kontekście krzyż powinien zawstydzać każdego mężczyznę. Jest przecież połączeniem absolutnej niewoli z absolutną wolnością. Ręce i nogi absolutnie umiejscowione. Osłabłe ciało i tak nie ma siły iść, a tym bardziej zerwać więzów. W takiej postaci może jednak istnieć wolny człowiek: „Ojcze, w Twoje ręce powierzam ducha mojego”. Po tych słowach wyzionął ducha. Właśnie tak. Miał jeszcze Ducha. Wolnego Ducha, którym mógł rozporządzać. Wolność mieszka w duchu, a nie w ciele. Unikanie odpowiedzialności, to rezygnacja z bycia wolnym. Wolny człowiek może wybierać. Zniewolony nie. Jak Piłat, który nie potrafił wybrać. Mężczyzna wybiera i nie traci wolności. Wtedy ją właśnie zyskuje. Znamienna jest postać Tomasza Morusa, wielkiego człowieka renesansu, który jednak przeciwstawił się królowi Anglii Henrykowi VIII. W sumieniu nie mógł uznać, że Henryk stał się głową Kościoła angielskiego tylko dlatego, że tak 7 chciał. Za to król uwięził go w wieży. Tomasz Morus wiedział, że jedynym wyjściem z wieży jest kara śmierci. Nie czuł się jednak zniewolony. Nie narzekał. Czy mógł inaczej postąpić? Kim byłby wtedy? Czy wtedy byłby wolny? Kiedy wchodził na szafot, powiedział: „Kiedy obejmowałem urząd kanclerza, prosiłeś mnie królu, bym wpierw słuchał Boga, a potem Ciebie, a dziś ginę za to, że wpierw słuchałem Boga, a potem Ciebie…”. Potem jego głowa wisiała miesiąc na Moście Londyńskim. Jednak nic nie było w stanie odebrać mu siły wolności. Został wielkim świętym Kościoła Katolickiego. Bo Kościół bardzo ceni prawdziwych mężczyzn.

Wersja 5

Czy takie unieruchomienie może mieć w sobie coś dobrego? Oczyma wyobraźni możemy natychmiast znaleźć się obok łóżka szpitalnego, na którym leży ciężko chora osoba. Prócz samej słabości chorego, czujemy częstą obojętność ludzi, którzy są wokoło. Bezradność i obojętność, a nawet wrogość. A jednak jest to też czas, kiedy wiele rzeczy można przemyśleć. Jeśli mamy dużo siły, wiele możliwości wyboru, nie zastanawiamy się. Żyjemy, jak leci, dzień po dniu. Beztrosko zaniedbujemy rzeczy ważne, a nawet najważniejsze, na rzecz tych, które są łatwe i proste. Unieruchomieni bezsilnością już tacy nie jesteśmy. Dlatego po ciężkiej chorobie wielu ludzi postanawia zmienić swoje życie. Uporządkować je, poukładać. A przecież nie trzeba czekać na chorobę. Wystarczy zamknąć się w rekolekcyjnej celi, czy ograniczyć swój świat na kilka dni w bacówce, domku letniskowym. Byle nic nie robić, zamrozić swoją aktywność. Po takim doświadczeniu nasz świat już nigdy nie będzie taki sam. Świat Jezusa na krzyżu jest jakoś inny, a jakoś podobny do tego, co było wcześniej. Zajmuje się teraz tylko tym, co najważniejsze. Rozmawia ze swoim Ojcem, przekazuje pod opiekę swoją Mamę, przebacza winowajcom. Jest coś niesamowitego w takiej bezsilności.